



Nowy Teatr

**MIEJSKA  
POWIEŚĆ  
ODCINKOWA**

2 marca 2009  
Warszawa-Kraków-  
Bytom-Wrocław-  
Poznań

ADAM WIEDEMANN  
Odcinek numer

**8**

# MPO

Miejska Powieść Odcinkowa (MPO) to inicjatywa literacka Nowego Teatru w Warszawie, który buduje centrum kulturalne w dawnej bazie Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania na Mokotowie. Wspólnie z Korporacją Ha!art i Kulturą Gniewu będziemy przez dwanaście tygodni dostarczać wam kolejne odcinki horroru miejskiego. Każdy autorstwa innego pisarza. Szukajcie nas w Warszawie, Krakowie, Bytomiu, Wrocławiu i Poznaniu, słuchajcie w Trójce, czytajcie na stronie [www.nowyteatr.org](http://www.nowyteatr.org)

wydawcy:  
Nowy Teatr  
Korporacja Ha!art

patroni medialni:

**korporacja ha!art**  
wszystko, co się nie opłoca

**gazeta**  
warszawa

**KG**  
kultura  
gniewu

**Gazeta.pl**

**Trójka**  
radio

**EXKLUSIV**

– Chcę – powiedziałem i nagle woda napłynęła mi do ust. Zakrztusiłem się, całym moim niemłodym, zwalistym ciałem wstrząsnął potężny kaszel, jednocześnie zaś we wszystkich członkach czułem jakąś rozkoszną słabość, rozleniwienie, jak gdybym nurzał się w grząskiej borowinowej kąpeli. Istotnie, znajdowałem się w wannie, w łazience domu, w którym mieszkam z bratem i z psem, który skowyczał za drzwiami, najwyraźniej domagając się pożywienia bądź wyjścia do ogrodu. Odruchowo sięgnąłem po szklankę winiaku, która jak zwykle stała na brzegu wanny. Szklanka niestety okazała się pusta. Nigdzie w zasięgu wzroku nie stała też butelka, którą to najwyraźniej musiałem zostawić w lodówce. Zauważyłem natomiast, iż woda, w której przebywam, ma kolor różowawy, choć przecież nie kupowałem ostatnio różanego płynu do kąpeli. Nie pachniała też wcale różami, lecz... Poruszyłem się niespokojnie, lewym udem wyczuwając jakiś ciężki przedmiot spoczywający na dnie wanny. Sięgnąłem po niego, czując zarazem przeszywający ból w lewym ramieniu. Był to pistolet, mauzer po moim ojcu, teraz już do niczego się nie nada. Nie odebrał mi życia, zatem mi je darował, zasłużył sobie na miejsce na komodzie, pośród zdjęć wszystkich moich kobiet i posążków przywiezionych z zagranicznych wypraw. Spojrzałem na swoje pokryte gęsią skórką ciało. Pod lewą pachą widniała rana postrzałowa, wyglądająca okropnie, ale najwyraźniej niegroźna. Co ciekawe, nabój nie przebił wanny, tylko uwierał mnie obecnie w plecy. Tak naprawdę, uratował mi życie nie pistolet, lecz winiak, to dzięki niemu nie trafiłem sobie w serce. Należy się go więc napić, pomyślałem z wdzięcznością i wyszedłem z wody. Przed udaniem się do kuchni opatrzyłem ranę plastrami, spryskawszy ją uprzednio spirytusem salicylowym w sprayu, który na wszelki wypadek trzymam w szafce na kosmetyki. Pies powitał mnie radosnym poszczekiwaniami, nasypałem mu zatem do miski trochę suchej karmy i wymieszałem z porcją puszkowych odpadów w galarecie. Następnie wyjąłem z szafki nową szklankę i nalałem sobie winiaku, którego całkiem sporo zostało na szczęście w butelce. Pierwszy łyk przywrócił mi siły. Po drugim pomyślałem, że dobrze byłoby ubrać się i wyjść do ogrodu, dobrze dla psa, a i dla mnie. Panowała bezchmurna i bezgwiazdna księżycowa noc. Wdziałem na siebie swoją starą, baranią szubę, trochę już przyciasną, i wyszedłem na mróz. Pies puścił się ku krzakom, które próbował naznaczyć swoim samczym moczem, pomimo niezdolności uniesienia tylnej łapy ponad poziom śniegu. Ja natomiast spojrzałem w kierunku furtki i zobaczyłem stojącą tam dziewczynę. Jak zwykle czekała tam, aż ją zauważę; wyprostowana, sztywna niczym terakotowe figurki, które przywiozłem z wycieczki po Egipcie. Podeszedłem do niej, brnąc w śniegu. Ujrzawszy mnie, nie odezwała się ani słowem, poczekała jedynie, aż ją wpuszczę. W przedpokoju po kilku chwilach zebrała się wokół niej kałuża brudnej wody.

– Zmarzłam – powiedziała w końcu swoim miłym, dziecięcym głosem, podniecająco niedopasowanym do jej hieratycznej postaci. – Zazwyczaj wcześniej wprowadzałeś psa.

– Właśnie wróciłem z Triestu – stwierdziłem, zdobywając się na odrobinę „luzu” – a poza tym chciałem się zabić.

– Zabić? Ty? – postawiła stopę w siatkowej pończosze wprost w grudę naniesionego śnieżnego błota.

– Ale już nie chcę. Czasami trzeba zrobić coś głupiego, by uświadomić sobie, jakie to było głupie.

– Ostatnio miałam wrażenie, że... mój stosunek do ciebie... jest czymś takim. Ale dzisiaj...

– Zdejmij już w końcu te buty i chodź do pokoju. Czego się napijesz?

– Mam ochotę na mleko, piwo i ajerkoniak.

Butelka piwa spoczywała na dnie lodówki, przyniesiona przez kogoś pół roku temu. Mleko, co prawda, sprzed tygodnia, ale wążane nie zaśmierdziało skwaśnieniem. Najgorsza sprawa z ajerkoniakiem. Postanowiłem przyrządzić go, mieszając winiak z żółtkami trzech jaj, które kupiłem przed wyjazdem w tym sklepie, gdzie panie znają mnie i rozpoznają, i przynoszą mi jaja z zaplecza, z własnej hodowli, specjalnie odkładane dla stałych klientów. Te nie powinny zawierać bakcyla salmonelli. Wbiłem je więc do miseczki, białka dając psu, zasypałem kilkoma łyżeczkami cukru i zalałem winiakiem. Wymieszałem. Otrzymana w ten sposób mikstura smakowała wybornie. Wkroczyłem do pokoju ze szklanką mleka, kuflam piwa i kielichem „ajerkoniaku” na tacy, dla siebie rezerwując drugą butelkę winiaku.

Dziewczyna rzuciła się na piwo.

– Przyjechałam tutaj taksówką – rzekła, popijając mlekiem. – Wukadka nie działa. Słyszałeś o wybuchu na Centralnym?

Natychmiast przypomniał mi się mój sen, alkoholowy majak. Tak, ta dziewczyna z raną ciętą od piersi aż po łono, tak!, to była ona! Choć ranę tę widziałem na ciele włoskiej pisarki, która gościła u mnie w zeszłym roku, by skończyć swą drugą powieść i odpocząć od męża, wciąż pozostającego w fazie dziecięcej nadwrażliwości.

Dziewczyna wydawała się spokojna, lecz wyczuwałem w niej napięcie, które lada chwila skończy się wybuchem, eksplozją jakiejś okropności.

– Może chciałabyś się położyć? odpocząć? – zasugerowałem, bez żadnych erotycznych podtekstów, do których zresztą nie miałem tymczasowo głowy. Nurtowały mnie obrazy ze snu, jakiś zaszary kibel, stara kobieta pokryta ohydą wysypką. I dlaczego w tym śnie miałem na imię Tomasz?

– Mój mąż nie żyje – powiedziała chłodno, zapijając „ajerkoniakiem”. – Teraz nie mam już innego wyjścia, muszę zamieszkać tu z tobą. Ostatnia droga ucieczki została odcięta.

– Przychodzisz w tak szczególnym momencie, że zdaje mi się, iż przeżyłem, aby się tobą zająć.

– Nie musisz się mną zajmować. Wystarczy, jeśli zniesiesz moją obecność tutaj. I fakt, że cię kocham.

– Jak miał na imię twój mąż? – zapytałem.